



16 października 2007 r. zmarł kardynał nominat Ignacy Jeż

To już rok...



Za dewizę biskupią obrał słowa „*Ignem veni mittere*” – **Przyszędłem rzucić ogień.** Nie schodźmy ze szlaku, jaki nam wytyczył.

Drodzy Czytelnicy!

Bardzo zależy nam, by pamięć o kard. Ignacym Jeżu nie wynikała tylko z kolejnych rocznic. Dlatego gorąco zachęcamy Państwa do przysyłania nam różnych form literackich, związanych z pierwszym Pasterzem naszej diecezji.

Najlepsze prace będą opublikowane i nagrodzone.

Redakcja koszalińskiego „Gościa Niedzielnego”

Benemerenti dla Zygmunta Kostrzewy

WIĘCIN. – To jest niezwykła łaska, ale i zadanie – powiedział bp Edward Dajczak. – Niech kościół iwieciński kwitnie, a ja w tej chwili myślę o Kościele serca. Bądźcie świątynią Boga, a wtedy wszystko będzie piękne. Jeszcze raz całym sercem dziękuję za najmniejsze dobro, które każdy z Was spełnia w najmniejszy sposób i panu Zygmuntovi za tę opiekę. Zygmunt Kostrzewa, skromny kościelny, powiedział nam, że całym swoim życiem stara się dziękować Panu Bogu za błogosławieństwa i ocalenie w czasie II wojny światowej. – To wielki zaszczyt i satysfakcja dla zwykłego śmiertelnika dostać medal od Ojca Świętego, to największe szczęście – powiedział nam pan Zygmunt. – To także niezwykła zasługa naszego wspaniałego proboszcza ks. Tadeusza Gorla, który został zesłany do Iwęcina prosto od Pana Boga. Laureatowi podziękowały również uczennice iwiecińskiej szkoły podstawowej. – Jest Pan jak dobry duch naszej

świątyni, zawsze możemy na Pana liczyć, życzymy Panu jeszcze wielu lat zdrowia, aby mógł Pan nadal opiekować się naszym kościołem. Odznaczenie, którego twórcą był w 1832 roku Grzegorz XVI, przyznawane jest ludziom szczególnie zasłużonym dla wiary chrześcijańskiej i – jak się okazuje – nie tylko tym z pierwszych stron gazet, ale i tym, którzy swoim codziennym oddaniem i zaangażowaniem wzmacniają lokalną wspólnotę. Pan Zygmunt Kostrzewa od 1984 roku sprawuje opiekę nad iwiecińskim kościołem, tym samym kontynuuje dzieło swojego brata Adama, który zajmował się świątynią od 1946 roku. Dzięki inicjatywie pana Zygmunta w 1999 roku powstała niezwykle aktywnie działająca rada parafialna, której udało się zebrać kilkaset tysięcy złotych na renowację czternastowiecznej świątyni. Rozmowę z laureatem zamieścimy w następnym numerze.

jm

Odnowiony ołtarz



JAN STASIUKEWICZ

STARZNO. Zakończyły się prace renowacyjne w kościele filialnym w Starznie (parafia Koczała). Podczas uroczystej Eucharystii biskup diecezjalny Edward Dajczak dokonał poświęcenia głównego ołtarza, ambony i chrzcielnicy, odnowionych w ostatnim czasie. Renowację wykonał konserwator Jan Trochimowicz z Zamościa k. Bydgoszczy. Po Mszy św. biskup poświęcił nowy krzyż misyjny i razem z wójtem Gminy Koczała

i delegacją mieszkańców odsłonił tablicę pamiątkową, poświęconą darczyńcom tegoż kościoła. W uroczystości wzięli udział były proboszcz koczałskiej wspólnoty ks. Kazimierz Gierszewski, księży z dekanatu, wójt gminy Koczała Eugeniusz Dmytryszyn, przewodniczący Rady Gminy Koczała Mariusz Patejuk, prof. Bożena Górczyńska, historyk z uniwersytetu poznańskiego, zaproszeni goście i licznie zgromadzeni wierni. **ka**

Będą mieszkania dla najuboższych

SŁUPSK. Dwa budynki komunalne powstają w rejonie ul. Soidka w Słupsku. W każdym będzie 48 mieszkań. Pierwszy zostanie oddany w czerwcu, drugi w listopadzie przyszłego roku. Koszt metra kwadratowego powierzchni mieszkania wyniesie ok. 2,5 tys. zł, a na budowę dwóch domów miasto przeznaczyło ponad 10 mln zł. Przy budynkach powstanie ogrodzone boisko do koszykówki oraz ogródek jordanowski z piaskownicą, ławkami, drabinkami, huśtawkami i zjeżdżalnią. W dalszych planach jest postawienie w sąsiedztwie budynku z 80 mieszkaniami. W Słupsku nie brak terenów, które mogłyby być przeznaczone pod budownictwo komunalne (np. w rejonie ul. Westerplatte jest miejsce na spore osiedle), wszystko zależy jednak

od tego, czy Rada Miasta zechce przeznaczyć na ten cel pieniądze. **kk**



KATARZYNA KOWALCZYK

GOŚĆ KOSZALIŃSKO-KOŁOBRZESKI

koszalin@goscniedzielny.pl

ADRES REDAKCJI: 75-256 Koszalin

ul. Stocznicowców 11-13

TELEFON 094 341 03 14

REDAGUJĄ: ks. Dariusz Jaślarz

– dyrektor oddziału,

Julia Markowska, Karolina Pawłowska



JULIA MARKOWSKA

VIII Dzień Papieski

Został z nami!

Tegoroczny, ósmy, Dzień Papieski organizowany był pod hasłem „Jan Paweł II – wychowawca młodych”.

Obchodzony od 2001 r. zawsze w niedzielę poprzedzającą rocznicę wyboru kardynała Karola Wojtyły na Stolicę Piotrową w tym roku przypadł na 12 października. Obchody tego dnia odbywają się zawsze w czterech wymiarach: intelektualnym, duchowym, artystycznym i charytatywnym.

We wszystkich parafiach naszej diecezji odbyły się koncerty, konferencje naukowe, panele dyskusyjne oraz Msze

św., podczas których wierni modlili się o rychłą beatyfikację Jana Pawła II. Młodzi zbierali się na czuwaniach, w trakcie których słuchali homilii i katechez poświęconych nauczaniu Jana Pawła II oraz osobistych wspomnień związanych z postacią wielkiego Papieża.

– Miałam szczęście być

sześć lat temu na krakowskich Błoniach, kiedy tylu młodych razem krzyczało „Zostań z nami!” – opowiada studentka Katarzyna Piechta. – Myślę, że chociaż pożegnaliśmy go tutaj na ziemi, w swoim nauczaniu pozostał z nami i będzie nam stale towarzyszyć. Podczas obchodów nie zabrakło też wieczornych procesji i zbiórki pieniędzy na Fundację „Dzieło Nowego Tysiąclecia”, która wspomaga utalentowaną młodzież z najuboższych rodzin.

OPRAC. Karolina Pawłowska



JULIA MARKOWSKA

Wieczorem w niektórych parafiach odbyły się marsze pamięci i stawiano znicze pod papieskimi pomnikami



KS. DARIUSZ SZYBA

Walczenie chętnie wrzucali do puszek choć po symbolicznej złotówce, by wesprzeć Dzieło Nowego Tysiąclecia

Z LEWEJ: W Kołobrzegu można było obejrzeć nagrodzone prace w konkursie plastycznym dla dzieci „Mój Kościół na Pomorzu”



BEATA STANKIEWICZ



IWONA STEPIŃIAK

Młodzi z parafii pw. św. Wojciecha w Koszalinie pod kierownictwem ks. Tomasza Wojciula przygotowali montaż słowno- muzyczny wzbogacony prezentacją multimedialną



KAROLINA PAWŁOWSKA

Przed koszalińską katedrą kwestowały harcerki

Nauczył nas opty

KARDYNAŁ NOMINAT WE WSPOMNIENIACH.

Współpracowników kardynała Ignacego Jeża poprosiliśmy o odpowiedź na pytanie, **czego nauczyli się od Seniora i czego w roku po jego odejściu brakowało im najbardziej.**

Kardynał Ignacy Jeż z optymizmem przyjmował zarówno problemy, jak i zaszczyty. Tu przyznanie Honorowego Obywatelstwa Kołobrzegu, 10 września 2007 rok



KAROLINA PAWŁOWSKA

Biskup Tadeusz Werno

– Nauczyłem się od niego cierpliwości i pracowitości, ale z szacunkiem dla człowieka. Żeby pracować tak, by wiedzieć, jaki ma być i będzie finał. To był człowiek radosny, wewnętrznie radosny. Bardzo pracowity, ale tak bez krzyku, bez zwracania uwagi na siebie. U niego zawsze wszystko było w porę przemyślane, nie było przypadków. Powtarzał: „Cokolwiek czynisz, czyń rozważnie



KAROLINA PAWŁOWSKA

i bacz na finał, na wynik tego działania”. Gdy chodziło o sprawy bardzo trudne, jak na przykład budowa seminarium, zawsze powtarzał spokojnie: „Pan Bóg też swoje zrobi, a my róbmy swoje”. Ja nauczyłem się od niego cierpliwości. Jako mieszkańca zaboru pruskiego nauczono mnie porządku, posłuszeństwa i odpowiedzialności. Jeżeli gdzieś tego porządku nie było, to mnie to denerwowało. A on mówił: „Tadeusz, nie dziwię się, ale najważniejszy jest człowiek, o tym się przekonałem

bez reszty w Dachau. I dlatego sprawa jest ważna, program jest ważny, zadania są ważne, ale najważniejszy w tym wszystkim jest człowiek”. Kiedy biskup Edward obejmował diecezję, po homilii podszedł do siedzącego Seniora i poprosił o błogosławieństwo. To jest znak, że jego dzieło będzie godnie kontynuowane. Brakuje mi rozmów z nim i jego spokoju ducha. Jestem jednak przekonany, że Kardynał teraz pomaga nam o wiele więcej – jest naszym orędownikiem w niebie. ■

mizmu

Biskup Paweł Cieślík



KAROLINA PAWLOWSKA

– Ksiądz kardynał Jeż był moim najbliższym sąsiadem przez ostatnich wiele lat i mogłem żyć w jego bliskości. Czego się nauczyłem – trudno powiedzieć, ale chcę się nauczyć i być wpatrzony w ten piękny przykład i wzorzec, jak wykorzystać można dzień. Jaki sobie program wytyczyć i żyć właśnie według tego programu. To wszystko było naprawdę pięknie ułożone. Wszystko to miało swoje miejsce w jego życiu, było realizowane. Widać było żelazną konsekwencję, stanowczość i siłę woli. Piękno tego człowieka urzekło mnie. On potrafił powiedzieć wtedy, kiedy człowiek był w stresie, zdenerwowany, zniecierpliwiony: „Dobrze, że ty biskupie Pawle się nie przejmuje”, zaczynałem się wówczas śmiać i przechodzić do porządku dziennego nad pewnymi sprawami. Chciałbym tak jak on odznaczać się humorem i tak jak on potrafić się nim dzielić. Gdy tylko byłem na miejscu, to przez ten rok, każdego 16. dnia miesiąca sprawowałem Eucharystię za spokój jego duszy. Wciąż trwa więź duchowa, pomimo pustki fizycznej. ■

Arcybiskup Marian Gołębiewski

– Od kardynała elekta Ignacego Jeża nauczyłem się radoznego i optymistycznego spojrzenia na świat. Nigdy, nawet w najtrudniejszych sytuacjach nie tragizował, zawsze widział wyjście z każdych kłopotów. Co znamienne, nawet opowiadając o swoich obozowych i wojennych przeżyciach, robił to z humorem, wszędzie dostrzegając promień słońca. Kiedy byłem w diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej, pojawiały się różne problemy, jednak on zawsze dodawał mi otuchy, zawsze podkreślał, że były już gorsze sytuacje, z którymi trzeba było sobie poradzić, więc i teraz nie ma co się martwić na zapas. Wiedziałem, że mogę na niego liczyć.

Był jednym z nielicznych emerytów, którzy uczestniczyli w Konferencjach Episkopatu, choć nie musieli tego robić. Przyjeżdżał, słuchał, interesował się tym, co się w Kościele dzieje. Teraz na tych spotkaniach bardzo brakuje mi jego zaangażowania. Brakuje twarzy człowieka, który był mi bardzo bliski. ■



ARCHIWUM GN

Arcybiskup Kazimierz Nycz



ARCHIWUM GN

– Staram się wciąż nauczyć dwóch rzeczy: przede wszystkim niesamowitego optymizmu, patrzenia z nadzieją i wiarą w przyszłość. Konsekwencją takiego spojrzenia na świat jest nie narzekanie na trudne czasy, czy to Kościoła, czy Polski. Zdaniem kardynała elekta Ignacego Jeża, narzekanie to brak pomysłu na duszpasterstwo i życie. Patrząc na jego życie, staram się tak jak on patrzeć ze spokojem, z dystansem na Kościół, świat, diecezję. Nie zapalał się gwałtownie, gdy pojawiały się jakieś trudności, podchodził do nich i rozwiązywał je ze spokojem.

Ten rok o wiele trudniej byłoby mi przeżyć w Koszalinie. W Warszawie wiele razy opowiadałem swoim współpracownikom o odejściu człowieka, który tak bardzo mi pomagał. Dziękuję Bogu za te trzy

lata i rzeczy, których mnie nauczył. Za to, że dane mi było się z nim zaprzyjaźnić, bo on traktował mnie jak przyjaciela. ■

Biskup Edward Dajczak

– Fascynowała mnie w nim i zdumiewała zdolność rozumienia przychodzących kolejnych pokoleń młodych ludzi. W jego długim życiu było przecież niemało tych nowych ludzi o innym myśleniu i zmieniającej się szybko mentalności. Niewiele jest takich ludzi! ■

Dobrze jest mieć obok siebie człowieka, który długim życiem i ogromem doświadczenia nabrał dystansu do bieżących wydarzeń. Warto wtedy usiąść i uważnie posłuchać, po to również, by wyważyć własne sądy. Nie można już z nim usiąść i pogadać! ■



KAROLINA PAWLOWSKA

Drodzy Diecezjanie, Siostry i Bracia!



BP EDWARD DAJCZAK

Mija rok od dnia, w którym usłyszeliśmy wstrząsającą wiadomość, że „od zawsze” obecny pośród nas pierwszy Pasterz diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej odszedł do Pana. Modlił się o śmierć nagłą i spodziewaną, i tak się stało!

Kościół ustami Ojca Świętego Benedykta XVI zdążył jeszcze powiedzieć wielkie i dla nas ważne słowa: Biskup Ignacy Jeż – *cardinalis electus!*

Był człowiekiem chrześcijańskiej nadziei i umiał się nią dzielić z każdym spotkanym człowiekiem. A swoje bogate w wielkie i niejednokrotnie dramatyczne wydarzenia życie odczytywał w kategoriach „przygody z Opatrznością”.

Diecezja koszalińsko-kołobrzeska i środkowe Pomorze stało się jego małą ojczyzną, w którą wrośł całkowicie. Pokochał świat żyjących tu ludzi, ich wielkie i małe problemy, i tę ziemię, której pięknem tak się zachwycił.

Nasz „Gość Niedzielny” pomoże nam przeżyć na nowo spotkanie z naszym Pasterzem i za to dziękuję Redakcji. A my módlmy się za naszego pierwszego biskupa Ignacego, naszego Kardynała i módlmy się z nim w intencjach żyjących tu dzisiaj ludzi.

Niech Pan da mu wieczną radość!

Ślązak z wyboru

DROGA DO KAPŁAŃSTWA.

Podczas jednej z rozmów z biskupem zapytałam, jaka jest recepta na mądre i szczęśliwe życie. Bez zastanowienia odpowiedział krótko: **dom rodzinny i wiara w Boga.**



Msza prymicyjna 21 VI 1937 r., parafia śś. Piotra i Pawła w Katowicach

ZDJEŃCIE ZE ZBIORÓW ARCHIWUM DIECEZJALNEGO W KOSZALINIE (REPRODUKCJA KAROLINA PAWŁOWSKA)

tekst

KAROLINA PAWŁOWSKA

kpawlowska@goscnieдельникny.pl

Wspominając dzieciństwo, biskup Ignacy zawsze zaczynał od słów: urodziłem się w przeddzień wybuchu I wojny światowej – 31 lipca 1914 r. w Radomyślu Wielkim. Ale to nie przeze mnie wojna wybuchła.

Dom był oparciem

Wojna sprawiła, że Jan i Jadwiga Jeżowie wraz z czwórką dzieci: Kazimierzem, Łucją, Wandą i najmłodszym Ignasiem zamieszkali w Katowicach, gdzie ojciec Ignacego przepracował wiele lat w tamtejszym sądzie, organizując struktury powojennego sądownictwa. W budynku tego samego sądu młody ksiądz Ignacy miał potem spędzić trzy tygodnie uwięziony przez gestapo za działalność antyniemiecką. – Śląsk to specyficzna dzielnica Polski. Ludzie są tam bardzo pracowici, zorganizowani i tego wszystkiego tam się uczyłem od

najmłodszych lat – opowiadał bp Jeż. – Ciekawa jest śląska religijność. Ludzie wypowiadają się w stosunku do Pana Boga przede wszystkim śpiewem i to śpiewem na bardzo wysokim poziomie, czego w żadnej innej części Polski się nie doświadczy. Śpiewają wszyscy, nie tylko kobiety, ale także mężczyźni. W diecezji koszalińsko-kołobrzeszkiej przez 20 lat próbowałem coś zrobić z tym śpiewem, ale nic się nie udało, mówił. Po latach w Koszalinie wielokrotnie powtarzał, że jest Ślązakiem... z wyboru.

Dom był oparciem. – Ojciec niesłychanie solidny i pracowity, rozmiłowany w porządku, który narzucił domowi w sposób zaakceptowany przez wszystkich. Mama pilnowała domu, kuchni i dzieci. Nic nie uszło jej uwagi, o wszystkim się wywiedziała i wspaniale wpływała na bieg wydarzeń – mówił bp Jeż, który pisał o tym również w książce „Świadek historii”. A w domu nauka wiary. Pierwsze wspomnienia związane przede wszystkim z matką, która uczyła i pilnowała codziennego pacierza, znaku

krzyża, udziału w niedzielnej Eucharystii. – Zawsze zdawałem relację o wysłuchanym kazaniu. Jako mały chłopiec wyrastałem w klimacie pierwszych piątków miesiąca, odmawiając Litanię do Serca Jezusowego, od najmłodszych lat słyszałem i sam to powtarzałem: „Uczyń serce moje według Serca Twego” – dodawał z uśmiechem. – To odgrywało swoją ważną i wielką rolę. Powoli rodziło się we mnie przekonanie, że ta droga jest słuszna. Postanowienie o wybraniu drogi służby Chrystusowej umocniła jeszcze edukacja wyniesiona ze szkoły. Choć początki szkolnej przygody wcale nie zapowiadały się dobrze – mówił. Szkoła nie wydawała się młodemu Ignasiowi miejscem atrakcyjnym. Jak opowiadał nieraz ze śmiechem, prowadzony do szkoły zanosił się szczerym płaczem. – Ubolewałem bardzo, nie mogłem się bowiem pogodzić z faktem, że na naukę zmarnuję kolejne dwanaście lat – wspominał. Jako uczeń katowickiego Gimnazjum Państwowego im. Adama Mickiewicza należał do Sodalizacji Mariańskiej i harcerstwa. 31 maja

1932 roku uzyskał maturę. – Nie wszystko w gimnazjum poszło dobrze, ale byłem dumny z celującego stopnia z greki. Pomogła mi systematyczna praca. A świadectwo dojrzałości zachowałem do dziś – mówił.



Fotografia z ok. 1930 r. Być może już wtedy dojrzywał myśl o kapłaństwie

Powołanie do służby Bożej

Po maturze podjął decyzję o wstąpieniu do Śląskiego Seminarium Duchownego, mieszczącego się wówczas w Krakowie. – Zjawilo się to, co określamy słowem „powołanie”. Jest w tym coś naturalnego: rodzina pobożna, katolicka – wyjaśniał swoją ówczesną decyzję. – Do tego dołączyła się parafia św. Piotra i Pawła w Katowicach, dobrze prowadzona przez księdza kanonika Karola Matheę. W gimnazjum mieliśmy wspaniałego profesora od religii – ks. Roberta Josińskiego. Przez siedem lat ten sam katecheta – to wpływa na młodego człowieka, bo on każdego z nas wspaniale znał i mógł nami pokierować poprzez dobrze prowadzoną Sodaliję Mariąńską. Nie było więc żadnego cudownego odezwania się głosu Bożego, tylko proces, który się dokonywał powoli, spokojnie, aż doprowadził do decyzji: idę do seminarium. Ojciec mi powiedział: „Będę ci płacił na każde studia, jakie wybierzesz, ale jak wybierzesz, to tego się trzymaj”.

Równocześnie Ignacy Jeż rozpoczął Studium Filozofii i Teologii na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Studia ukończył 13 lipca 1937 r. z tytułem magistra teologii w zakresie historii Kościoła. Kilka tygodni wcześniej, 20 czerwca 1937 roku, w katowickiej prokatedrze Świętych Piotra i Pawła otrzymał święcenia kapłańskie z rąk ordynariusza śląskiego ks. bp. Stanisława Adamskiego. Pracę duszpasterską neoprezbiter ks. Ignacy Jeż rozpoczął w Hajdukach Wielkich pod Katowicami, w parafii Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, prowadzonej wówczas przez księdza dziekana Józefa Czempieła (beatyfikowanego 13 czerwca 1999 r. w Warszawie przez Jana Pawła II w gronie 108 polskich męczenników). Równocześnie był kapelanem hufca męskiego ZHP, którego siedziba mieściła się w sąsiednich Świętochłowicach. Wspominał później wielokrotnie te lata do roku 1939 jako okres wspaniałej pracy duszpasterskiej.

Filary wiary

Okres ten skończył się wraz z początkiem wojny, a następnie aresztowaniem i uwięzieniem



Kilkuletni Ignacy z rodzicami i rodzeństwem

w obozie koncentracyjnym w Dachau. Odebrana formacja i wrodzony optymizm pozwoliły młodemu kapłanowi także tam dostrzec znaki Bożej Opatrzności. Przede wszystkim w spotykanych w obozie ludziach – świeckich i duchownych, którzy stawali się swoistymi filarami wiary w czasie próby. – Na początku postacią najbardziej dla nas wyraźną był bp Michał Kozal, którego spotkałem w obozie w 1942 r. Zostałem mu przedstawiony w listopadzie.

Wyróżniał się postawą. Był ubrany tak jak każdy z nas i pracował jak każdy więzień, może nawet traktowano go gorzej niż innych więźniów. Ale zachował swoją godność i jakąś dostojność postaci, co przyciągało uwagę. Niemcy pokazywali go, gdy przyjeżdżały międzynarodowe komisje Czerwonego Krzyża, żeby zaświadczyć, że obóz jest prowadzony w jako tako ludzkich warunkach. Zginął w styczniu 1943 r. – przywoływał w pamięci bp Jeż. – Albo ks. Stefan



Absolwenci „Jacka” wracali do swojego *magistri vitae* także po latach. Tutaj odwiedziny w Gorzowie w 1961 r.

Wincenty Frelichowski, Wicek – jak go nazywaliśmy. Jego pasją była akcja pomocy, szczególnie dla tych na rewirze, czyli w szpitaliku obozowym. Nikt się tam nie pchał, bo czasem tam wykańczali ludzi, a nie pomagali. Jest postać bardzo jasną, wyraźną. Gdy inni myśleli o sobie, o tym, jak ocalić swoje życie, on nastawił się raczej na to, żeby innych ratować i im pomagać. Pamiętam też ks. Konrada Szwedę, który na przykład umiał na pamięć wszystkie litanie. Jak to było możliwe, tego do dziś nie rozumiem. Po ubraniu się rano zawsze jeszcze zostawały dwie, trzy minuty, więc stawaliśmy w kącie i odprawialiśmy modlitwy. On wtedy codziennie inną litanię odmawiał. Są takie specjalne talenty i w dziedzinie duchowej.

Także w obozie ks. Ignacy poznał o. Józefa Kentenicha, założyciela ruchu szensztackiego. Ideał drogi proponowanej przez Szensztat – osiągnięcia świętości w takich warunkach, w jakich Bóg postawił człowieka, łaski budującej na naturze – zainteresował młodego kapłana. Po czterdziestu latach, już jako biskup diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej, poprosił siostry szensztackie, by zamieszkały na Górze Chełmskiej w Koszalinie.

Po wyzwoleniu obozu i roku spędzonym na pracy duszpasterskiej w obozie Goppingen, w 1946 r. ks. Ignacy Jeż powrócił do Polski, na Śląsk. Najpierw do Radlina, potem do Bogucic, a następnie bp Stanisław Adamski posłał go do katolickiego gimnazjum św. Jacka, które zostało później przekształcone w niższe seminarium duchowne. Tam pracował przez wiele lat. Był również rektorem tego seminarium. – Kierowanie młodzieżą wymagało, bym sam miał przemyślaną drogę, którą jej wskazywałem. W ten sposób siebie też trzymałem na pewnym poziomie – mówił. Potrafił zachęcić do pracy wielu wspaniałych nauczycieli, ale i sam umiał zapanaować nad największymi nawet młodymi indywidualnościami. Wielokrotnie później przywoływał obrazy i wspomnienia związane z pracą wychowawczą młodego pokolenia, z którym – mimo rosnącej z czasem różnicy lat i doświadczeń – zawsze umiał znaleźć wspólny język. ■

Światło w ciemno

Ks. Jeź w Dachau. Kiedy 22 kwietnia 1945 r. 800 księży i świeckich osób na zakończenie 9-dniowej nowenny odmówiło akt oddania się w opiekę św. Józefowi, nie przypuszczali nawet, **jak szybka będzie „interwencja” Opatrzności Bożej.**

tekst

KAROLINA PAWŁOWSKA

kpawlowska@goscniedzielny.pl

Wśród powierzających się św. Józefowi był także młody kapłan z Katowic Ignacy Jeź – numer obozowy 37 196. Tydzień po akcie zawierzenia do obozu w Dachau weszli żołnierze amerykańscy.

Nie ma zbiegów okoliczności

– Ślubowaliśmy św. Józefowi, gdyż najliczniejsza była grupa księży z Włocławka (do diecezji włocławskiej należał wówczas Kalisz, gdzie znajduje się sanktuarium św. Józefa – przyp. autora). A Kalisz leżał wtedy w diecezji włocławskiej. Dostawaliśmy przeciw niemieckim gazety, np. „Das Reich” pana Goebbelsa i wiedzieliśmy, że wojska niemieckie wciąż wycofują się na „z góry upatrzone pozycje”. Było jasne, że wojna się kończy, ale nie wiedzieliśmy, co z nami zrobią – wspominał kard. Ignacy Jeź. Księża nie tylko oddali się pod opiekę św. Józefa, ale także zobowiązali się szerzyć jego cześć, a po wyzwoleniu złożyć mu hołd w pielgrzymce do kolegiaty kaliskiej i przyczynić się do powstania Dzieła Miłosierdzia pod jego wezwaniem. Kard. Ignacy nie zapomniał o zobowiązaniu do końca życia. Przez wiele lat, w towarzystwie zmniejszającej się każdego roku garstki księży, ocalałych z Dachau, przybywał do kaliskiego sanktuarium, by podziękować św. Józefowi za cudowne ocalenie. Bo, jak powtarzał przy każdej okazji, w życiu nie ma szczęśliwych zbiegów okoliczności – jest Opatrzność Boża, której wystarczy zaufać.

Obozowa „przygoda”

W kwietniu 1940 r. gestapo aresztowało ks. Józefa Czempieła, proboszcza parafii w Hajdukach Wielkich, gdzie trafił do pracy neoprezbiter Ignacy Jeź. Tajemnicą poliszynela było, że ks. Czempiel trafił do obozu koncentracyjnego w Dachau koło Monachium. Wkrótce potem telegram, jaki nadszedł do parafii, mówił o katarze żołądka jako oficjalnej przyczynie śmierci kapłana. Uzgodniony sprawę w kurii biskupiej, ks. Ignacy zarządził odprawienie Mszy św. w kościele, gdzie ksiądz Czempiel był proboszczem. Liczba wiernych, którzy przyszedli, by pożegnać znanego duszpasterza, była olbrzymia. Gestapo nie mogło pozwolić na tego typu manifestacje. To wystarczyło, by teraz z kolei wikariusz został wysłany do Dachau.

– Na moją postawę w obozie chyba decydująco wpłynął fakt pobytu w więzieniu w Katowicach w pojedynczej celi – opowiadał po latach kardynał. Podczas trzytygodniowego uwięzienia w izolatce napisał na kartkach brewiarza: „a jeśli Pan Bóg chce, żebyś Mu służył poprzez więzienie? Może więcej dobrego przyniesie innym taka forma życia niż praca kapłańska w parafii?”. I dodał jeszcze po harcersku: „Nowa przygoda życia”. – Tak nas harcerstwo ustawiało, że wszystko, co przeżywamy, jest właściwie jakąś przygodą – wyjaśniał podczas jednej z rozmów. – Nawet nie odprawiając Mszy św., mając tylko różaniec, czy nawet na palcach go odmawiając, bo w obozie nie wolno było posiadać takich przedmiotów. To ma też swoją wartość. Często we wspomnieniach po latach kard. Jeź przywoływał

scenę z politzeiprezidium we Wrocławiu, gdzie transport więźniów zatrzymał się w drodze do obozu koncentracyjnego. Byli tam także oficerowie z Wilna, członkowie klubu sportowego „Śmigły”, przewożeni do Dachau za bunt wywołany w obozie jenieckim. – Wieźli ich na sąd nadzwyczajny, gdzie mogą zapaść wyroki śmierci. Chcieli się wypowiedzieć, bo może już innej okazji do pojednania z Bogiem nie będzie – tłumaczył. – Potem przychodzili do mnie po kolei, całą noc ich spowiadałem. Dla tej jednej nocy warto było znaleźć się w obozie.

Więzień 37 196 – polityczny

Założony w 1933 r. pierwszy obóz koncentracyjny w Dachau stał się karnym obozem pracy dla ponad 30 tys. więźniów. Wśród nich było prawie 3 tys. duchownych. Otrzymał numer obozowy 37 196, wypisany na białej taśmie, i czerwony trójkąt z literą „P”, na określenie więźnia politycznego, Polaka. – Do dziś pamiętam słowa powitania, wypowiedziane przez jednego z esesmanów, że jedyna droga do wolności prowadzi stąd przez komin krematorium – wspominał ksiądz kardynał. – Ten straszny okres był dla mnie, w mojej życiowej drodze za Jezusem, okresem decydującym. Wszelkie hitlerowskie propozycje zrezygnowania z kapłaństwa, z polskości nasi polscy kapłani zdecydowanie odrzucali. Jak się weszło na tę drogę męczeństwa, to trzeba na tej drodze bez reszty trwać. Wszelkie inne byłoby zdradą. W styczniu 1943 r. w obozie wybuchła epidemia tyfusu brzuszego. Potem wybuchł tyfus plamisty, przenoszony przez wszy. Praca ponad siły, przejmujące

zimowe mrozy, racje żywnościowe wyznaczane z aptekarską dokładnością, by nie wszyscy naraz umierali. „Vernichtungs-Lader” – miejsca zniszczenia. A mimo wszystko młody ksiądz z Katowic potrafił i tam dostrzec światło Bożej Opatrzności. Wspomnienia te spisał wiele lat później w książce „Błogosławcie Pana, światło i ciemności”. Przywołuje w niej też spotkania z niezwykle ludźmi – świeckimi i duchownymi – których postawa odcisnęła piętno na młodym kapłanie. Wśród nich był między innymi młody ks. Wincenty Frelichowski, błogosławiony patron harcerzy. – On wziął sobie do serca, żeby pomagać tym, którzy zapadali na tyfus w szpitaliku obozowym. Cóż to był

KAROLINA PAWŁOWSKA



Ściach święci

za szpital, lepiej nie wspominać nawet, więcej tam ludzi umierało, niż przychodziło do zdrowia. Ale on upatrzył sobie właśnie, żeby tam iść z pomocą – wspominał kardynał. – Jak już mogliśmy otrzymywać paczki, chodził i zbierał od nas pudełka „dextropuru”, żeby destylować z niego cukier Gronowy. Znosił to do szpitalika i podawał chorym, choć było to surowo zakazane. Mówiliśmy mu: człowieku, przecież się zarazisz od tych tyfuśników i sam umrzesz. I faktycznie umarł, w lutym 1945 r., tuż przed uwolnieniem nas przez Amerykanów. I właśnie taki człowiek budził zachwyt tą chęcią pomagania drugiemu nawet w takich warunkach, w jakich tam żyliśmy.

5 godzin

Po dwóch i pół latach obozowej gehenny wyzwolenie było prawdziwym cudem. Tym bardziej że przyszło niemal w ostatnim momencie. Obóz strzeżony przez uzbrojoną załogę został zdobyty przez garstkę alianckich żołnierzy, która kierowała się do Monachium. Nacierające z tego kierunku oddziały dywizji SS Viking również zostały rozbite przez wojska amerykańskie. – Zabroniono nam wychodzić z baraków, a tu o godzinie 17 nagle inny krzyk i wołanie: „Amerikaner sind da!”. Najpierw nie uwierzyliśmy, choć wiedzieliśmy, że byli już niedaleko od nas. Wybiegają wszyscy z baraków i rzeczywiście! Widać ostrożnie podchodzące pod obóz postacie w innych mundurach, z innymi hełmami na głowach. Następuje rozbrojenie załogi esesmanów z wień wartowniczych. Wśród niebywałego krzyku radości więźniów z głównego budynku „Jourhausu” rozlega się głos po angielsku, potem szybko przetłumaczony: „Jesteście wolni!”. Odmówiliśmy „Ojczy nasz”, każdy w swoim języku – opisywał wydarzenia z 29 kwietnia 1945 r. kard. Ignacy Jeż. – Ze względu na panujący tyfus musieliśmy jeszcze pozostać w obozie na trzytygodniowej kwarantannie. Mieliśmy dużo wolnego czasu i zbadaliśmy nasze własne akta w kancelarii obozowej. Wśród innych dokumentów znaleziono także plan likwidacji obozu, wyznaczony na niedzielę 29 kwietnia, na godzinę dziewiąt wieczór. Miał być wzniecony pożar, który byłby znakiem dla Dywizji SS Viking spod Monachium. Jednostka miała przyjechać i zrównać z ziemią baraki wraz z więźniami, żeby nie było świadków tego, co się tam działo. Między godziną uwolnienia obozu przez niewielki

oddział amerykański a godziną wyznaczoną na realizację planu zagłady było pięć godzin różnicy. Gdyby Amerykanie przyszli kilka godzin później, zastaliby zgłiszczona i zbiorową mogiłę. Po opuszczeniu obozu ks. Ignacy trafił do koszar wojsk lotniczych w okolicach Goppingen k. Stuttgartu, gdzie w obozie dla około 5 tys. Polaków przez rok kierował ośrodkiem opieki duszpasterskiej. Uważał bowiem, że powinien być przy Polakach, którzy przeżyli piekło wojenne i próbowali zacząć nowe życie.

Pontifex

– Gdy dzisiaj człowiek patrzy na ten czas, nie ulega najmniejszej wątpliwości, że był to czas działania Bożej Opatrzności – komentował. – Życie w obozie nasuwało wprost porównanie do Drogi Krzyżowej, która zakończyła się wprawdzie śmiercią, ale za którą przyszło zmartwychwstanie. Z tej perspektywy to, co potem nadeszło, było już tylko zrealizowaniem się następstwa tajemnic bolesnych i chwalebnych. Ludzie pytają mnie, skąd tyle optymizmu i radości po obozowych przeżyciach? No właśnie dlatego! Jak nie cieszyć się darowanym życiem? Tylu wspaniałych ludzi tam zginęło. Tylu wprost świętych zakończyło tam swoje ziemskie pielgrzymowanie. A mnie dane było wyjść, pracować, a nawet zostałem biskupem! Z tamtej perspektywy zmiana nieprawdopodobna. Doświadczenia obozowe stały się też bodźcem dla księdza, a następnie biskupa Ignacego, by dołożyć wszelkich starań, aby nienawiść i pogarda nie wzięły góry nad człowieczeństwem. Nazwany przez swojego przyjaciela Jana Pawła II „Budowniczym mostów”, niejednokrotnie przyczynił się do budowania mostów łączących sąsiednie narody, których losy zostały tak boleśnie opłatanie przez historię. Ważną rolę w pojednaniu i burzeniu barier odegrał „List biskupów polskich do biskupów niemieckich”, którego słowa: „Przebaczymy i prosimy o przebaczenie” stały się symbolem

powojennego Kościoła polskiego. Jednym z sygnatariuszy listu był także biskup pomocniczy diecezji gorzowskiej Ignacy Jeż. – Kiedy pojawiła się myśl, żeby zaprosić wszystkie episkopaty na uroczystości milenijne do Częstochowy, wiadomo było, że nie wystarczy zwykłe zaproszenie. Trzeba znać cały ten list, wtedy widzi się całą historię stosunków polsko-niemieckich na tle religijnym. Dlatego ostatnia część listu zaczynała się prośbą o przebaczenie. Dotyczyło to przede wszystkim kwestii wysiedleń na skutek umów z Jąłty i Poczdamu – wspominał kardynał. – Władze komunistyczne potraktowały to jako zniewagę. Rozpoczęła się nagonka. Ale gdy prymas Wyszyński powtórzył trzykrotnie te słowa na Jasnej Górze, wszyscy zrozumieli, że linia, po której poszedł episkopat, wówczas była słuszna.

Jako my odpuszczamy...

Jak sam podkreślał wielokrotnie, najważniejsze były kontakty człowieka z człowiekiem, które przy dobrej woli obu stron potrafią zdziałać cuda. Lata kontaktów i przyjaźni zaowocowały zrozumieniem i powolnym burzeniem barier. – W obozie uwięzieni byli także Niemcy, i Niemcy pomagali nam po wojnie, zwłaszcza diecezje Paderborn czy Essen. A jeśli do tego człowiek modlił się codziennie: „I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy”, nie może patrzeć na świat z wąskiej perspektywy poczucia doznanej krzywdy – podkreślał hierarcha. W czerwcu 2005 r. bp Ignacy Jeż otrzymał z rąk ambasadora Niemiec w Polsce Reinharda Schweppego Wielki Krzyż Zasługi Republiki Federalnej Niemiec za wieloletnią działalność na rzecz polsko-niemieckiego pojednania. Podczas tej uroczystości odczytano list gratulacyjny ks. kard. Lehmana, w którym przewodniczący Konferencji Biskupów Niemieckich nazwał kard. Ignacego Jeża „Świadkiem wiary XX wieku”. Wybitne zasługi na rzecz przemian demokratycznych i zaangażowanie we współpracę polsko-niemiecką docenione zostały także Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski, który został wręczony biskupowi podczas jubileuszu 75-lecia święceń kapłańskich w czerwcu 2007 r. ■

Na cztery miesiące przed śmiercią kard. Jeż odebrał Krzyż Wielki Orderu Odrodzenia Polski, m.in. za budowanie pojednania polsko-niemieckiego



Walka o Kościół



ZDJĘCIA ZE ZBIORÓW ARCHIWUM DIECEZJALNEGO W KOSZALINIE (REPRODUKCJA KAROLINA PAWŁOWSKA)

ZMIANY W KOŚCIELE. Pierwsze lata posługi biskupiej Ignacego Jeża w diecezji gorzowskiej to **budowanie Kościoła i więzi międzyludzkich.** Wbrew komunistom i stereotypom.

tekst

JULIA MARKOWSKA

jmarkowska@goscniedzielny.pl

Dnia 20 kwietnia 1960 roku papież Jan XXIII wyniósł ks. Ignacego Jeża do godności biskupa. Informację o tym przekazał kapłanowi sam prymas Stefan Wyszyński. Kardynał Jeż tak wspominał to wydarzenie: – Pierwszy raz twarzą w twarz – w cztery oczy spotkałem się z księdzem prymasem Stefanem

Wyszyńskim 13 maja 1960 roku. Wezwał mnie telefonicznie, nie podając, o co idzie. Sądziłem, że może chodzić o sprawy Niższego Seminarium Duchownego, którego wtedy byłem rektorem, więc zabrałem akta i pojechałem na ulicę Miodową. Po pewnym czasie poprosił mnie ks. prymas do swojego gabinetu i zapytał: „A jak ksiądz myśli – w jakiej sprawie ja księdza tu wezwałem?”. Nie miałem żadnych wątpliwości i odpowiedziałem, że na pewno chodzi o nasze seminarium, znowu przez

władze państwowe zagrożone – otwieram akta i przedstawiam sprawę. Gdy mi tchu zabrakło, ks. prymas mówi niespodziewanie: „A ja w zupełnie innej sprawie” i podaje mi kartkę z powiadomieniem, że Ojciec Święty Jan XXIII postanowił mianować mnie biskupem, a ja mam na to wyrazić swoją zgodę. Poczuję się jak obuchem uderzony w głowę i przeczytałem kartkę raz i drugi. Zdziwiony, przeczytawszy, że mam iść jako biskup pomocniczy do Gorzowa, odważyłem się jednak zauważyć, że tam już jest dwóch biskupów z Katowic – jak przyjdzie jeszcze trzeci, to księża mogą się zbuntować. Ksiądz prymas spokojnie na to: „A może Ojcu Świętemu zależy na tym, żeby przynajmniej między wami była zawsze zgoda i porozumienie”. Gdy na następną moją osobistą wątpliwość ks. prymas odpowiedział – zamilkłem, a ks.

5 maja 1960 r. Konsekracja ks. Ignacego Jeża. Liturgia konsekracyjnej przewodniczył prymas Stefan Wyszyński

prymas pyta: „Czy to milczenie mam uważać za wyrażenie zgody?” – nie zostało mi nic innego, jak odpowiedzieć „tak”.

Trzynasty maja to dzień Matki Fatimskiej, dlatego biskup w swoim herbie umieścił literę „M” i symbol słońca. Przyjął wezwanie *Ignem veni mittere* czyli „Przyszedłem rzucić ogień”, co szczególnie w czasach budowania diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej od podstaw przybrało niezwykle symboliczny wydźwięk.

Odpowiedzialność biskupia

Kardynał po kilkudziesięciu latach od przyjęcia sakry

tak mówił o odpowiedzialności wynikającej z bycia biskupem: – Biskupstwo jest oczywiście wyniesieniem człowieka. Odpowiedzialność za diecezję to przecież odpowiedzialność za zbawienie miliona ludzi! To jest ogromnie wielkie obciążenie. Trzeba dać temu rady w sensie poziomu własnego życia duchowego. Księża, klerycy i ludzie świeccy patrzą na biskupa, który jest „forma gregis” – on ma ich uformować poprzez słowo, ale i poprzez swoje postępowanie. Na każdym kroku jest on pod ostrzałem. Trzeba dać tylko wrozkowym, ale przede wszystkim duchowym. Dlatego obowiązuje go w szczególny sposób wszystko to, co jest treścią zasad ewangelicznych, które Chrystus nam zostawił. Przede wszystkim miłość bliźniego. Biskupowi zagraża to, że odgrodzi się od ludzi. Kiedy byłem biskupem pomocniczym w Gorzowie, próbowałem temu zapobiegać w ten sposób, że księża zawsze mieli do mnie swobodny dostęp, bez wyznaczania audiencji, czasem nawet bez uzgadniania godzin. Gdy ktoś przyjechał z daleka – a np. ze Słupska do Gorzowa było 300 km – a do tego jeszcze miał samochodowe, trzeba było mu dać możliwość spotkania się od razu, jeśli tylko byłem na miejscu.



Z powodu sprzeciwu władz biskupowi Jeżowi udało się uczestniczyć tylko w pierwszej sesji soboru. Na zdjęciu z bp. Wilhelmem Plutą

Biskup Ignacy Jeż wraz bp. Wilhelmem Plutą i bp. Jerzym Strobą zarządzał obszarem zajmującym jedną siódma Polski. Przed biskupami stanęło nie lada wyzwanie. Musieli oni zintegrować pochodzących z różnych stron kraju i wychowanych w różnych kulturach wiernych. Kardynał tak charakteryzował ten obszar: – Po wojnie te tereny zostały zasiedlone zupełnie nową ludnością, przesiedloną z terenów wschodnich, które odpadły od państwa polskiego, byłymi więźniami obozów koncentracyjnych, osadnikami wojskowymi oraz tymi, którzy szukali lepszej przyszłości, i wydawało im się, że tu będą mogli na nowo rozpocząć życie po tragedii wojennej. Wszyscy oni znaleźli się na terenie dla siebie obcym. Jedyną rzeczą, która ich wiązała – trzeba to jasno powiedzieć – był Kościół, taki sam jak w miejscu, z którego przychodzili. Jego rola integracyjna była ogromna. Ci ludzie odnajdywali się w zwyczajach religijnych, procesjach, Mszach św., nabożeństwach majowych, różańcowych – w tym, co przeżywali tam, skąd pochodzili, gdzie czuli się u siebie.

Sobór

Nie wolno zapominać także, iż pomimo tych trudności

wszelkie działania Kościoła różnymi sposobami, w mniej lub bardziej perfidny sposób, utrudniały komunistyczne władze. W czasie Soboru Watykańskiego II komuniści robili, co mogli, by rozbić jedność gorzowskich biskupów, którzy chcieli w nim uczestniczyć. Władze przyznawały paszporty tylko niektórym hierarchom. Jednak Konferencja Plenarna Episkopatu Polski podjęła uchwałę, że w przypadku, gdy dokumentu nie dostaje ordynariusz, to biskup pomocniczy również rezygnuje z wyjazdu. Z tego powodu biskup Jeż uczestniczył tylko w pierwszej sesji soboru, która wywarła na nim niesamowite wrażenie. – Dopiero w Rzymie otwarły się nam oczy na klimat i atmosferę, jakie tam panowały, co wyrażało się w rzucanych wtedy hasłach. Sam sobór był epokowym przeżyciem dla Kościoła. Zmiany, które wprowadził, są nieprawdopodobne. Przede wszystkim został wprowadzony do liturgii język narodowy. Gdyby to zrobiono za czasów Lutra, to prawdopodobnie reformacja popłynęłaby innym torem. To są sprawy, które zmieniły zupełnie tok życia religijnego – podkreślał hierarcha. Kardynał Ignacy Jeż złożył w sekretariacie soboru propozycje zmian dotyczące niższych seminarium duchownych. Zaproponował, by nie były to szkoły przygotowujące wyłącznie do studiowania w wyższym seminarium, ale szkoły katolickie, które w wychowaniu szczególnie naciskałyby na kapłaństwo.

Celem komunistycznej władzy było zniszczenie Kościoła i pozbawienie go wszelkiej własności. Władze nałożyły na kapłanów obowiązek prowadzenia ksiąg inwentarzowych i płacenie czynszów za użytkowanie kościołów i majątku kościelnego. Za niewywiązanie się z tego obowiązku wielu kapłanów stanęło przed sądem, wymagowane należności ściągali komornicy. Biskup Ignacy w książce „Świadek historii” tak podsumował te zabiegi: „Były to czasy trudne. Jednak księży w sensie »księży patriotów«, którzy poszliby na współpracę, było bardzo mało. Organy bezpieczeństwa wyszukiwały słabe strony niektórych, jakieś sprawy z czasów wojny i wtedy ich na ogół



Biskup Ignacy Jeż przyjął wezwanie „Igne veni mittere”, czyli „Przyszedłem rzucić ogień”

szantażowano. Pod wpływem tego szantażu oni godzili się na jakąś formę współpracy. Były przypadki, że organy bezpieczeństwa namawiały księży do współpracy, a ci, co się nie godzili, potem byli prześladowani w swoisty sposób w swoich parafiach”.

Trasy prof. Wojtyły

Biskupi gorzowscy tworzyli tak zgraną grupę, że pomimo ciężkiej wspólnej codziennej posługi nawet wakacje spędzali wspólnie. Inspiratorem przy wyborze formy wypoczynku był ksiądz Karol Wojtyła. – Przez szereg lat spędzałem wakacje, płynąc na kajakach z ks. Jerzym Strobą, gorzowskim biskupem pomocniczym i metropolitą poznańskim – wspominał biskup Jeż. – A trasy wyznaczał, doradzał i przewodniki pożyczał ks. prof. Wojtyła z Krakowa. Dobrze znali się ze Strobą, który sporo lat był rektorem seminarium śląskiego w Krakowie. Stobie coś zrobiło się w ramię i lekarz doradził mu jako rehabilitację wakacyjną nasświetlanie przez słońce i miarowy ruch wiosłem, więc Stroba kupił kajak – gumowy składak, a ja namiot i kuchenkę i w 1951 roku po raz pierwszy wybraliśmy się na wakacje. Wybraliśmy się spod Przechlewa, skąd wypływa Brda, aż do Bydgoszczy – wtedy na rzece nie było jeszcze zapory. Cudowne, wspaniałe wakacje wśród przepięknej przyrody, choć zdarzały nam się rozmaite przygody i trudne chwile, gdyż nie mieliśmy jeszcze praktyki, byliśmy kajakowymi nowicjuszami. Takich rejsów przez kolejne lata zrobiliśmy ze Strobą z dziesięć.



ZDJEŃCIE ZE ZBIORÓW ARCHIWUM DIECEZJALNEGO W KOSZALINIE (REPRODUKCJA KAROLINA PAWŁOWSKA)

Budowniczy

Wrzesień 1986 r. Budowa seminarium była dla biskupa priorytetem. Pomimo licznych obowiązków osobiście sprawdzał postępujące prace

TO JEST NASZE MIEJSCE. Początki diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej nie były łatwe. Jednak jej pierwszy ordynariusz różnymi sposobami **potrafił pokonać wszelkie problemy.**

tekst

JULIA MARKOWSKA

jmarkowska@goscnieдельникny.pl

To było w Krakowie 28 czerwca 1972 roku w siedzibie arcybiskupa krakowskiego, a był nim ksiądz kardynał Karol Wojtyła. Tam i w jego obecności ogłoszono wtedy decyzję o erygowaniu nowej diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej. Kościół dokonał wspianego dzieła zakorzenienia ludzi, którzy tu przybyli. Wszyscy oni znaleźli się tutaj u siebie w domu. Poprzez parafię, poprzez Mszę św., poprzez słowo Boże, poprzez sprawowane sakramenty – wspominał kard. Ignacy Jeż.

Przed pierwszym ordynariuszem stanęło nie lada zadanie. Duży obszar diecezji, niemal 900 tys. mieszkańców, zbyt mała liczba księży i brak diecezjalnych struktur administracyjnych, a do tego władze, które nie zgadzały się na odbudowywanie Kościoła na tych ziemiach. Społeczność z powodów historycznych była bardzo różnorodna i słabo zintegrowana. Przesiedleńcy z różnych stron Polski musieli nauczyć się wspólnie żyć i akceptować swoją odmienność. – Po wojnie ziemie odzyskane zostały zasiedlone zupełnie nową ludnością; byli to m.in. osadnicy wojskowi, więźniowie obozów koncentracyjnych i ci szukający lepszej przyszłości – opowiadał

kardynał. – Oni długo wierzyli, że wrócą na swoje tereny. Wiele z nich dopiero nowe kościoły i utworzenie diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej uświadomiło, że zostaną tutaj na stałe.

Zbudować Kościół, wykształcić księży

Ordynariusz na początku swojej pracy postawił sobie dwa główne cele: zwiększenie liczby parafii i księży. Tworzeniu nowych parafii sprzeciwiały się komunistyczne władze. Pracownicy Urzędu Wojewódzkiego na jakiegokolwiek pisma w tej kwestii odpowiadały odmownie. Nie pomogło nawiązywanie do schematyzmu ks. Edmunda Nowickiego z 1948 roku, który wymieniał wszystkie parafie istniejące na terenie administracji gorzowskiej przed reformacją. Kuria odwołała się od decyzji urzędników w Warszawie. W petycji wykorzystano symbolikę pomnika Byliśmy-Jesteśmy-Będziemy, który po dzień dzisiejszy stoi przed koszalińskim ratuszem. – Tłumaczyliśmy, że

chcemy na terenie kościelnym uwodnić, że tu byliśmy, a władze lokalne są nam przeciwne – wspominał kardynał. – I to poskutkowało, zmieniono nam decyzję Urzędu Wojewódzkiego, co było wielką rzadkością. Pan Płóciennik, ówczesny dyrektor do spraw wyznań, po cichu powiedział ks. Jarnickiemu: „Na tej podstawie możecie składać tyle wniosków, ile chcecie”.

Dzięki niezwyklej pogodzie ducha i ciężkiej pracy ordynariusz erygował ponad 100 nowych parafii w diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej, wybudował lub podniósł z ruin około 120 obiektów sakralnych. Szczególnie dużo starań wymagało odzyskanie kołobrzeskiej konkatedry. Hierarcha tak wspomina zmagania z władzą o odzyskanie świątyni: – Pierwotnie nasze było tylko prezbiterium. Władze przypuszczały, że Kościół będzie się o ten obiekt upominał. W połowie lat 60. przyszło oficjalne pismo, że wieża i nawy są własnością państwa, które zachowała konkatedrę jako trwałą ruinę



Rzym, październik 1978 r., spotkanie z Janem Pawłem II po inauguracji pontyfikatu.

Z LEWEJ: 17 marca 1975 r. 975-lecie istnienia metropolii gnieźnieńskiej i biskupstwa w Kołobrzegu

albo przystąpi do jakiejś odbudowy. Po częściowym remoncie postanowiono wprowadzić tam Muzeum Oręża Polskiego. Myśmy oczywiście cały czas protestowali, wnosząc o oddanie naw kolegiaty na użytek Kościoła. Muzeum ulokowano w wieży, plany przewidywały jego rozszerzenie także na nawy. Kard. Ignacy Jeż napisał list do ówczesnego premiera Piotra Jaroszewicza, w którym zapytał, dlaczego takie muzeum musi mieścić się w kościele i podkreślił różnego rodzaju problemy, wynikające z posiadania jednego obiektu przez dwóch właścicieli. Dzięki tej interwencji ordynariusza konkatedra w całości stała się własnością Kościoła.

Serce diecezji

Kardynał Ignacy Jeż od początku swojej posługi starał się uzyskać zgodę na utworzenie seminarium. Udało się to dopiero w grudniu 1980 roku. Wyższe Seminarium Duchowne zostało erygowane przez ordynariusza 25 marca 1981 roku, dziewięć miesięcy później władze wydały zezwolenie na budowę. Budowa, pomimo że prowadzona system gospodarczym, przy współdziałaniu kleryków, wymagała niezwykle dużych nakładów finansowych. – Największym wyzwaniem było zbieranie pieniędzy, czyli zebraństwo – wspomina bp Tadeusz Werno. – W tej materii najlepszym okazał

się biskup Ignacy. Mówi do mnie: Tadeusz, ty będziesz kierowcą, jedziemy do Niemiec. No i jeździliśmy do Niemiec po pieniądze. Dzięki temu jego uporowi i Bożej Opatrzności seminarium zostało wybudowane. W 1984 roku zakończono budowę pierwszej z czterech części seminarium i sprowadzono do diecezji wszystkich kleryków, którzy dotychczas uczyli się poza Koszalinem. Wtedy okazało się, że kard. Karol Wojtyła, dobrze znając charakter biskupa Ignacego, przewidział, że seminarium w naszej diecezji powstanie. Kardynał tak wspominał tę sytuację: – Gdy kilka lat wcześniej kard. Wojtyła przekazywał diecezjalnym seminariorom relikwie św. Jana Kantego, profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego wyniesionego na ołtarze, delikatnie zwróciłem uwagę arcybiskupowi krakowskiemu: – Ale ja nie mam seminarium! Otrzymałem proroczą odpowiedź: – Ale będziesz miał! I dlatego weź relikwie.

Jan Paweł II w Koszalinie

– Prosiłem i Ojca Świętego, i Konferencję Episkopatu, żeby Koszalin w jedną z pielgrzymek włączyć. Tak się zdarzyło, że właśnie tę w 1991. Ja właściwie złożyłem rezygnację z urzędu w 1989, bo urodzony w 1914 r. miałem wtedy 75 lat. Byłem wtedy w Rzymie, u Ojca Świętego, i Ojciec Święty mówi mi: Ignas, poczekaj, aż ja tam przyjadę.

No i rzeczywiście nie przyjął rezygnacji jeszcze przez trzy lata. Wizytę przeżywałem jako osobisty tryumf, no ale reakcja całej diecezji była nadzwyczajna. Że nam się udało tutaj w Koszalinie zebrać 300 tys. ludzi w stu-tysięcznym mieście, to uważaliśmy za osiągnięcie niezwykle. Tym bardziej że przywitał nas tutaj wiatr od morza, na lotnisku zimno było wtedy. Ojciec Święty wykorzystał to zaraz w swoim odezwaniu się, wspominając ten wiatr od morza. Ale potem program udało się zrealizować, tak jakbyśmy sobie to zaplanowali. Była Góra Chełmska i Msza św. przy kościele Ducha Świętego, do tego nocleg w seminarium po różańcowej modlitwie w katedrze. Na drugi dzień potem planowaliśmy spotkanie z wojskiem, najpierw w charakterze diecezjalnym, bardzo skromnym, ale w tym właśnie czasie powstał już ordynariat wojskowy, wtedy urosło to do wielkiego spotkania z wojskiem we wszystkich jego formacjach. No i to Ojciec Święty potem na zakończenie tej pielgrzymki skwitował w teatrze w Warszawie, mówiąc do ludzi tam zebranych, że to spotkanie uznał za najwyraźniejszy znak tych przemian. Po raz pierwszy mógł się spotkać z żołnierzami, którzy się modlą, którzy śpiewają pieśni religijne i przez całą noc trwali na modlitwie mimo bardzo trudnych warunków. ■



Dzięki przyjaźni Ojca Świętego z bp. Ignacym Jan Paweł II odwiedził Koszalin. Pierwszy ordynariusz podziękował za tę wizytę 18 listopada 1991 r. w Rzymie

Kardynalskie anegdoty

Biskup Uśmiechu



Kardynał Ignacy Jeż nie lubił patosu. **Zawsze skory do żartów, był powszechnie znany z pogody ducha i uśmiechu.**



Gdy rozmawialiśmy o wydanej z okazji 90. urodzin książce „Świadek historii”, opisującej barwny życiorys jubilata, kardynał zdradził receptę na pogodne życie. – Nie można na życie patrzeć tylko z jednej perspektywy. Niektórzy wciąż wyciągają tylko to, co najgorsze, to, co najbardziej skomplikowane. To może i prawda. Ale obok tego jest cała gama przeżyć radosnych, pogodnych. I dopiero to jest całe życie – mówił.

W książce „Wstańcie, chodźmy!” Jan Paweł II napisał, że był jednym z biskupów, z którym łączyły go szczególne więzi przyjaźni. „Jest obdarzony darem poczucia humoru, o czym świadczy umiejętność bawienia się swoim nazwiskiem” – tak mówił o bp. Jeżu Papież. Dowodem na to była choćby odpowiedź na zadawane przez nas, zwłaszcza w ostatnich miesiącach życia kardynała, pytanie o stan zdrowia: „tak sobie, średnio na jeża”. A sam Biskup Uśmiechu, jak został nazwany przez Papieża, tak wspominał tę niezwykłą przyjaźń: – Jan Paweł II zawsze witał mnie słowami: „Ignas, Ignas, jak się masz? Jak długo się śmiesz, tak długo jest dobrze. Ignas, co masz do powiedzenia?”. Mówiłem mu wówczas, że teraz jako emeryt nie mam już żadnych problemów do rozważania z Ojcem Świętym jako Głową Kościoła. Przywożę tylko anegdoty i nowe kawały. Jan Paweł II znany z doskonałego poczucia humoru uśmiechał się i mówił: „No to, Ignas, opowiadaj, opowiadaj”. A ja śmiało opowiadałem różne historyjki i anegdoty, co tylko pamięć przyniosła. Ojciec Święty zawsze śmiał się bardzo serdecznie – mówił bp Ignacy. Opowiadał między innymi Papieżowi taką historyjkę:

Kiedy przyleciałem do Paryża, na lotnisku witał mnie rektor

polskiej misji ks. Stanisław Jeż. Zbieżność nazwisk zupełnie przypadkowa. No więc witamy się, jak na księży przystało, całując się w jeden i w drugi policzek. A obok stoi taki młody ksiądz i patrzy na nas z wielkim zainteresowaniem. Pytam go zatem, czemu nam się tak przygląda. A on mi na to: Proszę księdza biskupa, bo ja w życiu nie widziałem, jak się jeże całują!

Żartując ze swojego nazwiska, wspominał także, jak zdarzyło się kiedyś, że złożył niezapowiedzianą wizytę abp. Jerzemu Strobie:

– Ja tu mam pełno roboty! Jak jeszcze raz przyjedziesz bez zapowiedzi, to cię psem poszczuję! – grzmiał arcybiskup.

– Stroba, po pierwsze: nie masz psa. Po drugie: czyś ty widział, żeby przyzwoity pies rzucił się na jeża? – odparł niewzruszenie gość.

Wspominając drugiego gorzowskiego Ślązaka, bp. Wilhelma Plutę, przywoływał zaś opowiadaną przez niego wielokrotnie anegdotę o niedźwiedziu:

Trzech księży po koledzie pojechało do Zakopanego, by odpocząć. Jeden z nich znany był z tego, że strasznie długie kazania mówił. I właśnie ów ksiądz gdzieś się zawieruszył. Kiedy przy kolacji jego towarzysze już zaczęli się niepokoić, nagle otwierają się drzwi, wpada zaginiony ksiądz i krzyczy: Ludzie, co ja przeżyłem! Cud się zdarzył! Pytają więc, co się stało, a Hanyś opowiada: Poszedłem sobie na przechadzkę, a tu nagle zza zakrętu ścieżyny wychodzi prosto na mnie wielki ber! Coś musiało go obudzić i zaraz na mnie przednie łapy podniósł. Myślę sobie, że to koniec, bo i uciekać nie ma gdzie przed głodnym niedźwiedziem – po prawej stronie góra, po lewej przepaść – zginę śmiercią straszliwą. Więc jak na księdza przystało, wzbudzam akt

żału i robię wielki znak krzyża: w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego... A niedźwiedź na to spuścił szłapy, odwrócił się i odszedł. Czy to nie cud prawdziwy? A złośliwy kolega na to: Hanyś, żaden cud, on myślał, że ty kazanie zaczynasz...

Opowiadając czasy walki z PRL-owskimi absurdami w czasach administracji apostolskiej gorzowskiej, przytaczał nieraz taką anegdotę:

Do jednej z parafii przyjechał komornik i na rzecz należności za użytkowanie kościoła i plebanii zajął wiszący na ścianie obraz przedstawiający scenę z Ostatniej Wieczerzy. Na ramie obrazu nakleił znaczek zajęcia. Nim po dwóch tygodniach przyjechano, by zabrać „Ostatnią Wieczerzę”, duchowny zdążył obraz dobrze ukryć. Na ścianie zaś pozostała jedynie rama z niernaruszonym „orzękiem”. Na pytanie komornika: „A ci gdzie?”, proboszcz bez namysłu odpowiedział: „Zjedli i poszli”.

Karolina Pawłowska



Znany z ironicznego podejścia do swojego „kolczastego” nazwiska bp Ignacy przy różnych okazjach obdarowywany był... jeżami. Część z kolekcji znajduje się dzisiaj w izbie pamięci poświęconej Kardynałowi w seminarium duchownym

Pasterz Pomorzan

Tożsamość miejsca i ducha

Miejsce spoczynku kardynała nie było przypadkowe.

Kołobrzeg, pomorska stolica biskupia jest miejscem kontynuacji wydarzeń sprzed tysiąca lat.

Kiedy kardynał Ignacy był ciałem i duchem między nami, mawiał często z dumą o swoim pierwszeństwie na tronie biskupstwa pomorskiego (w naszych czasach koszalińsko-kołobrzeskiego). Pamiętamy, że było to pierwszeństwo po tamtym pierwszym, nieznanym-zapomnianym: Reinbernie z Hassegau. Nasz kochany arcybiskup i ojciec potrafił żartować z siebie i z nas. Tego mu nikt nie odmawia. Jednak narzekał ostatnimi laty, że Order Uśmiechu dla męczennika czasów pogardy stał się dla wielu wymówką, by „dziadka Jeża” nie traktować zbyt serio. Po roku diecezjalnej żaloby warto wsłuchać się ponownie w echa naszych rozmów z kardynałem, w tematy jego homilii i gawęd, w ton prośb modlitewnych. Oby historia stała się nauczycielką. Nasza własna historia...

Jeden rok i tysiąc lat

Ignacy i Reinbern: jeden rok i tysiąc lat. Chronologia wydarzeń pozwala na przywołanie pamięci tego bliższego nam, a spoczywającego w krypcie bazyliki kołobrzeskiej. W mediach i w kazaniach sporo o nim tej jesieni. Tegoroczna rocznica jest zarazem okazją do przywołania pamięci o wysłanniku apostołskim i pierwszym (znanym) ewangelizatorze Pomorza epoki świętowojeickowej i piastowskiej. Wiemy o nim naprawdę niewiele, gdyż kroniki ówczesne i inne dokumenty, które wtedy powstawały, przepadły bez wieści, a jedyny kronikarz, który mógłby o nim wspomnieć – Thietmar z Merseburga (zresztą krajan



Życzeniem kardynała Ignacego było, by pochowano go w miejscu szczególnym dla niego i historii Kościoła – w krypcie kołobrzeskiej konkatedry

naszego Reinberna) – nie był przyjacielem Bolesława i Ottona, ani nie zachwycał się ideą chrześcijańskiej Europy, gdzie Wschód i Zachód były skrzydłami jednego orła albo gołębic. Historycy spierają się, kiedy Reinbern przybył w nasze strony: czy pracował wśród Pomorzan przed synodem gnieźnieńskim (Wielkanoc AD 1000), czy zjawiał się tu już jako biskup sufragan Radzima Gaudentego? Czy znał nieco dialekty słowiańskie, czy korzystał z usług tłumaczy? Czy musiał opuścić Kołobrzeg z powodu niechęci Pomorzan do Ewangelii (lub metod duszpasterskich), czy też raczej nowe zadania, w imię księcia Bolesława i papieża, zaprowadziły go do Pragi i aż na ziemię ruskie, gdzie w tajemniczych okolicznościach zakończył swój żywot? Wiele pytań pozostaje na razie bez odpowiedzi. Kronikarz cesarza Heinricha II zanotował tylko, że z córką Bolesławową i jej mężem Świętopełkiem (Światopełkiem, Swatoplukiem) udał się na wschód, by starać się o tron kijowski, osierocony po św.

Włodzimierzu Chrzycielu. Jarosław Mądry (też święty cerkiewny) okazał się zwycięzcą w tych zmaganiach, a Reinbern uwięziony albo internowany w monastyrze (w Turowie, Kijowie?) w ciszy i na modlitwie odszedł z tego świata. Tyle wiemy. A kiedy to się stało? Prof. Lech Leciejewicz i jego uczeń, „nasz” prof. Marian Rębkowski, sugerują, że datę śmierci biskupa Reinberna można precyzować na lata 1012–1014.

Szanujcie ojców

Ponieważ nie znamy nagrobka naszego pierwszego Chrzyciela, możemy – jako diecezja, jako województwo, jako Kościół w Polsce – przygotowywać się mądrze i godnie do millenium odejścia do domu Ojca tego pierwszego przed kardynałem Ignacym. Niech to będzie rok 2012, gdy powrócimy do źródeł chrześcijańskich nad Parsętą w Starym Kołobrzegu (Budzistowo) i jeszcze raz ucałujemy miejsce pierwszej ofiary eucharystycznej na Pomorzu. Skoro milczą kronikarze, niech przemówią literaci i

pieśniarze. Niechaj znów radosne tysiąclecie rozpozgodzi naszą lokalną powszedniość. O, gdyby Reinbern przeczuwał, że jego następca będzie nazwany „księciem Kościoła rzymskiego”! O, gdyby nasz kardynał był z nami, powtarzałby stanowczo: dzieci moje, szanujcie ojców! Takie jest przykazanie synajskie, taki jest nasz ojczysty obyczaj, taka jest podstawa naszej przyszłości! Oby Kołobrzeg jako pomorska stolica biskupia i jako ambitne polskie miasto zechciało przebudzić się do mądrej rozmowy o swej przeszłości, która nadała nam imię. Daj nam Boże twórczą wierność słowu danemu honorowemu obywatelowi i ojcu naszej wiary. Niech wreszcie pamięć o Janie Pawle II, Duchowym Pielgrzymie Kołobrzegu w wolnej Polsce, gdy tutaj pragnął rozpocząć Dobrą Nowinę o wolności ducha, pomoże nam słuchać tegorocznego jubileusza, św. Pawła: „Dzieci moje, oto w bólach was rodzę, aż ukształtuje się w was Chrystus”.

Ks. Henryk Romanik

Wspomnienie

Umiał dzielić się talentem

Kardynała Ignacego Jeża wspomina **siostra Jolanta z Szentszackiego Instytutu Sióstr Maryi.**

Posługując codziennie w domu, w którym mieszkał ks. kard. Jeż, można było zauważyć, że jego osobowość bardzo silnie oddziaływała na innych. Jako pasterz diecezji zapisał się głęboko w sercach ludzi. Przede wszystkim był bardzo wymagający wobec siebie, zdyscyplinowany, pracowity, dokładny, zawsze otwarty na innych. Mimo sędziwego wieku był w stałym kontakcie z ludźmi. Niestrudzenie aktywny w sprawach diecezji i Kościoła. Często wyjeżdżał z posługą pasterską. Będąc na miejscu, w domu, chętnie przyjmował u siebie biskupów, kapłanów, dygnitarzy oraz zwykłych ludzi. Służył dobrą radą i pomocą niemal do końca swoich dni. Momenty trudne i zaskakujące przyjmował ze spokojem i pogodą ducha. Cechowało go wielkie poczucie humoru. Potrafił się wsłuchać w głos diecezji i narodu, w jego potrzeby i problemy. Był wrażliwy na różne trudności społeczne. Umiał się dzielić swoim talentem, intelektem, zdolnościami. Mimo swojego wieku posiadał doskonałą kondycję intelektualną i fizyczną. Co dnia zaskakiwał nas świeżością umysłu. Swoją osobowością wniósł wielki wkład dla Kościoła w Polsce i poza jej granicami. Po ogłoszeniu w 2007 roku nowych polskich błogosławionych często



JULIA MARKOWSKA

mawiał do nas, sióstr szentszackich: „Teraz kolej na wyniesienie na ołtarze waszego ojca założyciela Józefa Kentenicha”. Ksiądz kardynał poznał go osobiście w Dachau. Toteż krótko przed wyjazdem do Rzymu prosiłam, aby w tej sprawie szczególnie pomodlił się u grobu św. Piotra oraz przy grobie Jana Pawła II. Zapewnił mnie, że będzie miał w pamięci tę intencję. To była moja ostania prośba, którą ksiądz kardynał zabrał do wieczności. Ufam, że przez swoje wstawienie do Boga przyczyni się do

rychłej beatyfikacji naszego założyciela.

16 października 2007 roku o godzinie 7.40, wracając z porannej Mszy św., zauważyłam piękną kolorową tęczę, która swoim łukiem otoczyła dom biskupi. Tęcza symbolizuje przymierze człowieka z Panem Bogiem. Wtedy to niebo dało mi znać o odejściu do wieczności ks. kard. Ignacego Jeża. Od tej chwili mija właśnie rok. Jednak wciąż w tym domu wyczuwa się jego obecność. Jest ciągle żywy w naszej pamięci jako świadek głębokiej wiary i całkowitego zawierzenia Bożej Opatrzności. Kiedy jesteśmy w sanktuarium Przymierza na Górze Chełmskiej, czujemy jeszcze bliższą więź z kardynałem, naszym opiekunem, któremu zawdzięczamy to sanktuarium w Koszalinie oraz poświęcenie go przez Ojca Świętego Jana Pawła II. W naszym sanktuarium Matki Bożej Trzykroć Przedziwnej trwa za kardynała nieustanna modlitwa wdzięczności. ■

Rozdajemy nagrody

Rozwiązanie konkursów z numeru 40.

„Twoja krew uratowała życie”

Nagrody wylosowali: Krystyna Miłkowska, Kazimierz Raczyński, Hanna Kulig, Jadwiga Wyrwicka, Tomasz Wilk.

„Zmień auto na rower”

Ekologiczne zestawy-niespodzianki zdobyli: Grześ Raczyński, Stanisława Porębska.

„85 lat »Gościa Niedzielnego«”

Jubileuszowe książki trafią do Anny Wicik i Zbigniewa Cieślaka.

Zwycięzcom serdecznie gratulujemy, nagrody prześlemy pocztą. ■

zaproszenie

Szkoła dla rodziców

W trzeciej dekadzie października swoją działalność rozpocznie w Koszalinie katolicka „Szkoła dla rodziców”. Zajęcia poprowadzą wykwalifikowani pedagodzy i metodycy. Tematy spotkań będą dotyczyły m.in. budowania relacji dorosły-dziecko, wspierania procesu usamodzielniania się dziecka, budowania realnego poczucia wartości dziecka, konstruktywnego rozwiązywanie konfliktów, problemów wieku dorastania. Głównym celem spotkań jest wspieranie rodziców i wychowawców w radzeniu sobie w codziennych kontaktach z dziećmi i młodzieżą. Będzie to także nauka umiejętności lepszego porozumiewania się, refleksja nad własną postawą wychowawczą, wymiana doświadczeń. Bliższych informacji udzielają Zofia i Sławomir Józwiakowie, tel. o 606 497 116. ■

■ K O N D O L E N C J E ■

Najserdeczniejsze wyrazy głębokiego współczucia składamy
KS. PIOTROWI KUCIE
proboszczowi parafii pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi
Panny w Sarbinowie, z powodu śmierci

śp.

MATKI

ZAPEWNIAMY O PAMIĘCI W MODLITWIE
Redakcja koszalińskiego „Gościa Niedzielnego”